Janina Łagoda

Bakcyl atakuje. W dniu 4 marca 2020 roku do publicznej wiadomości został przekazany oficjalny komunikat o stwierdzeniu koronawirusa (choroba COVID-19 wywołana wirusem SARS-CoV-2) u jednego z mieszkańców województwa lubuskiego. Do tej chwili kraj nasz pozostawał jedną z nielicznych enklaw wolną od niego, aczkolwiek atmosfera podejrzeń o możliwości tajemnego grasowania gęstniała. Służby medyczne i te odpowiedzialne za bezpieczeństwo w międzynarodowym ruchu osobowym nie próżnowały, realizując swoje zadania wynikające z obowiązujących przepisów. Intensywnie też pracowali politycy, mnożąc w nieskończoność wątpliwości mniej lub bardziej słuszne, zapominając swoim zwyczajem o rzeczowych sposobach ich uzasadniania, bo to z natury sprawa trudna, wymagająca zastanowienia się, analiz, konsultacji z fachowcami etc., co z reguły osłabia spektakularność wygłaszanych oracji. Były to pojedynki między opozycją a rządzącymi, tak, jakby ów wirus posiadał legitymację partyjną, raz niewygodną dla jednej strony sceny politycznej, innym razem dla drugiej. Bardziej przypominało to wróżbiarstwo, niźli autentyczną troskę o interes mieszkańców kraju czynami popartą. Zabrakło empatii i wspólnego działania, a czas umykał. Jedni i drudzy usiłowali coś robić, ale był to zwyczajny taniec nad brzegami kanionu bez widoku na bezpieczne ich połączenie.
Oczywiście zawsze w przypadku zagrożenia bezpieczeństwa obywateli główna odpowiedzialność ciąży na władcach. I od nich oczekuje się inicjatyw jednoczących wysiłki wszystkich, w tym przypadku w walce z wirusem. Rząd nie wykazywał ochoty na współpracę z opozycją, mimo że ta wielokroć występowała z inicjatywami partnerskich rozmów i składała merytoryczne propozycje wspólnych antywirusowych kroków. Dopiero zdiagnozowanie choroby u rodaka nieco ostudziły emocje i nazajutrz doszło do spotkania (5 marca 2020 roku) premiera z przedstawicielami wszystkich klubów i kół poselskich w sprawie sprzężonych działań przeciwko koronawirusowi. Zastanawia dlaczego nie przewodził temu spotkaniu prezydent RP, zaś jego Biuro Bezpieczeństwa Narodowego (BBN) świeciło pustkami. W sytuacjach trudnych dla państwa winno stanowić węzeł komunikacji politycznej i miejsce wypracowywania decyzji ponad podziałami, a nie być tylko spektakularnym makijażem głowy państwa.
W bilansie czynów premiowana jest skuteczność, nie blichtr. I wreszcie po czteroletniej przerwie prezydent RP otworzył, po raz drugi od 2016 roku podwoje BBN, także dla opozycji, zwołując posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Narodowego (RBN) zapraszając na spotkanie (10 marca 2020 r.) z rządzącymi przedstawicieli wszystkich parlamentarnych ugrupowań. I chyba uczestnicy nie byli zawiedzeni, bo – sądząc po ich wypowiedziach – debata merytoryką stała, czego dotąd brakowało, zwłaszcza w ważnych dla państwa sprawach. Bojaźń przed wirusem wyzwoliła prezydencką empatię? A może przeważyły tylko reelekcyjne względy? Ważne, że do takiego spotkania doszło. Z kontynuowaniem tych zdawałoby się pożytecznych spotkań jest problem. I tak się stało, bo kolejne spotkanie RBN, które miało miejsce w dniu 24 marca 2020 roku już takim nie było, a dotyczyło regulacji w zakresie pakietu tzw. tarczy antykryzysowej, kiedy to opozycja ani przed, ani w takcie spotkania nie mogła zapoznać się z dokumentem, jeśli w ogóle taki istniał. Przypominało raczej wideokonferencję lansującą prezydenta i kandydata na ten urząd w jednym. Zabawa, kpina, upokorzenie etc., czy poważne traktowanie opozycji? Nawet w tak trudnym dla obywateli i państwa momencie waży nowogrodzkie politykierskie wyrachowanie partyjnego guru. Wydaje się, że w rządzącym obozie marginalne znaczenie ma

skuteczność zmagania się z wirusem, lecz wyłącznie wygranie wyborów prezydenckich i to za wszelką cenę, wbrew ostrzeżeniom, płynących także z tego obozu, wprawdzie nieśmiałym, ale jednak.

Przedmurze

Wirus w styczniu 2020 roku dotarł do Europy z Chin, które z nim skutecznie walczą od grudnia ubiegłego roku i w marcu odnotowały przyhamowanie jego ataku. Nasz resort od zdrowia taktownie mentalnie przygotowywał społeczeństwo na nieuchronność przybycia do nas tego intruza i nadal to czyni. Konferencje prasowe ministra od zdrowia są rzeczowe, ale czy to jest jego rola, kiedy ochrona zdrowia w podstawowym wymiarze zwalczania koronawirusa skwierczy. To on powinien decyzjami oliwić zatarcia w zwalczaniu epidemii. Briefingowe spotkania są pożyteczne, ale absorbują czas ministra na wypracowywanie decyzji wprost zwalczających wirusa, a nie na epatowanie się kamerami. Może to jakaś mutacja nowogrodzkiej polityki.
Chorobowe objawienie się wirusa w naszym kraju eksplodowało mieszaninę konsternacji, niedowierzania, oznak paniki, ale również ignorancji. Wirusowy problem stał się energetyczną pożywką dla rodzimych rządowych i opozycyjnych polityków, którzy w bezgranicznym amoku zaczęli sobie wymierzać ciosy, a bakcyl poruszał się własnym traktem. I tutaj pytajnik: czy w trakcie oczekiwania na wizytę wirusa rząd uczynił wszystko, aby zniechęcić go do przybycia do nas, a jeśli już się wprosi, to jak mu uprzykrzyć pobyt? Sztampowe to pytanie, ale odpowiedzi już takimi być nie powinny. Rządzący mają problem z konkretami, a premier chyba zauroczył się baśniopisarzem H. Ch. Andersenem (1805-1875), który koił dusze, ale realia pozostawiał rzeczywistym znawcom problemów. Czyżby u nas stało się coś odwrotnego? A przecież Rzeczpospolita realnością jest.
Zagubienie z oznakami chaosu, to niezmienny organizacyjny folklor zdobiący naszą polityczną estradę w sytuacjach trudnych. Górę biorą werbalistyczne chaotycznie wymierzane razy w imię przeświadczenia o ich skuteczności, a istota wirusowej inwazji pozostaje na uboczu czyniąc swoje, spozierając z ironią na wzajemną ambicjonalną połajankę adwersarzy. Dobrze się stało, że nastał moment opamiętania, ale i to zasługa mikroba, a nie autentycznej empatii. Ważny jest, mimo wszystko konsensus, bo kanalizuje społeczne wysiłki na rzecz odporu zagrożenia, tym razem epidemią i pandemią determinowanego. Abstrahując od źródła inspirującego do wspólnego działania, to dobry znak i oby na trwałe zagościł w naszej spienionej polityce, co może okazać się nader trudne, jako że już tchnie burzycielskimi frazesami. Podział na my i oni z wirusem pośrodku wraca do normy.
Kraj przez spory czas skutecznego światowego grasowania koronawirusa, był pozornie bezpieczną białą plamą na mapie jego ataków. Otoczeni zewsząd złowrogimi kolorami mogliśmy znów przez chwilę poczuć się demiurgiem (gr. demiourgos - twórca) narodów w platońskim wydaniu, tj. jako obdarzeni nieograniczoną mocą sprawczą, której żadne zło się nie ima, a ewentualne jego pojawienie jest gwałtownie niweczone. I tym razem rządzący uwierzyli w swoją misję, chociaż resort od zdrowia, ale i spora część obywateli stąpało po ziemi. W natłoku przemyśleń nowogrodzkich notabli, realizm fachowców z resortu zdrowia, bądź, co bądź, tej samej politycznej proweniencji był skutecznie przygłuszany, lecz tylko do czasu, kiedy bakcyl zaczął wypełniać krajowe izolacyjne szpitalne sale. Buńczuczność politykierów topniała, ale niekoniecznie ich ambicje. One nadal prątkują nawet, kiedy przytłacza je deklaracja wzajemnej współpracy rządzących z opozycją w zwalczaniu zarazka.

A wirus ten ma to do siebie, że trafia w różnorakie sfery społecznego życia o krzyżujących się interesach tych współczesnych, przyszłych, ale i również o historycznych naznaczeniach. I jak zwykle istnieje obawa, że dzisiejsza obopólna życzliwość stanie się w krótkim czasie efemerydą, jeśli już nią nie jest. Odstąpmy jednak od pesymistycznej wizji. Nadal pozostajemy, wedle urzędowych komunikatów, jednym z krajów najmniej opętanym wirusem, a może tylko dlatego, że nie wykonuje się wystarczającej ilości testów na jego obecność. W tym punkcie plasujemy się w europejskich rankingach w końcowych przedziałach. Nie ma jednak podstaw, aby kwestionować rządowe statystyczne adnotacje, ale też nie brakuje argumentów wskazujących na jednostronność myślenia oligarchów o interesie kraju. Partyjny oraz osobisty egoizm i towarzyszące mu rozdwojenie jaźni polityków mają się dobrze. Nastał czas zgodnego sprzeciwu wobec intruza, ale jest on natychmiast obarczany natłokiem krzyżujących się deklaracji osób odpowiedzialnych za szczęśliwość państwa i obywateli. Codzienność zachowań urąga pojednawczym oświadczeniom. Czy przedmurze, tym razem antywirusowe stanie się codziennością? Prognoza obdarzona ogromnym ryzykiem. Licytatorska pasja politykierów potrafi przebić wszelakie zdroworozsądkowe bariery, nawet w obliczu trwogi. Przykładów wiele, ale pora aby przestały wzbogacać kosz przypadków ojczyźnianych nieszczęśliwości.

Organizacyjna zadyszka

Opowieści o bezpieczeństwie państwa, w tym o aseptycznej szczelności polskich granic negatywnie zweryfikował wirus i zatomizował funkcjonowanie świata, także naszej Niepodległej. Problem taki, że tym razem wobec agresora kosa na sztorc ustawiona czy epatowany samolot F-35 stają się bezradną iluzją, zaś skuteczność medyczno-logistycznego antidotum różnymi kolorami u nas się mieni. Nie da się oddzielić ochrony gospodarki od sanitarnej obrony przed bakcylem. Jest to symbioza i taka musi być też strategia waliki z nim. Dwutorowość ofensywy wieszczy klęskę. Wydaje się, że rządowy pakiet antykryzysowy nie w pełni implikuje tę zależność.
W granice państwa wstąpił wyklęty wojownik. Tym razem nie jest to rusofobią demonizowany rosyjski zielony ludzik, bądź dywersant innej proweniencji. Wirus swoją niemal kordialną otwartością i bezceremonialną kontaktowością oszołomił krajowych decydentów. Dla rządzących zmartwienie takie, że ów agresor nie posiada politycznego znaku, zaś jego biologiczne jestestwo skutecznie demoluje społeczno – gospodarcze więzi w globalnym wydaniu, ale i system ochrony zdrowia również. Władający krajem albo tego nie dostrzegają, bądź ignorują otoczenie, odurzając się sondażowymi słupkami poparcia.
Pora, aby Rzeczpospolita była racjonalnie zarządzana, a nie humorami starszego pana z Żoliborza przeplatanymi aurą nowogrodzkiej ostoi, co ordynarnie koliduje z demokratycznością. Czas, aby położyć temu kres. Nowogrodzki układ niszczy obywatelskie swobody. Czy kraj musi być w ten sposób administrowany? Na pewno nie, ale łatwiej nauczyć się panowania, trudniej rządzenia, jak zauważył niemiecki poeta J.V. von Goethe (1749-1832). Wybiórcze deklaracje ze zbiorów Solidarności dawnych lat, dzisiaj stały się selektywnym wzorcem dla inteligentów z Nowogrodzkiej. Przypadek godny uwznioślenia i zarazem ubolewania. Okazuje się, że nadal obojętność i wyrachowanie tworzą siłę o różnych emocjonalnych odczynach. Paralela obydwu stanów prowokuje do stwierdzenia, że implikują myśli i czyny o olbrzymiej społecznej szkodliwości. Nie ma jednak przeszkód, aby współczesny oligarcha, lider prawej i sprawiedliwej formacji, mający biograficzny związek z tamtym spontanicznym solidarnościowym ruchem, stanął na premierowskim lub prezydenckim urzędzie. Ale wydaje się, że z zadęcia uszedł

honor. Na co więc może liczyć nowogrodzki wódz: na chwałę, a może na zapomnienie? Zdaje się, że droga do panteonu będzie kręta, bo pożytecznych dla kraju i narodu czynów niedosyt. Nie ma przeszkód, aby swoją władczość w praktyce objawił. Urząd prezydenta bądź premiera taką szansę daje. Odwaga ma jednak różne imiona i nie wszyscy potrafią je w porę odczytać. Unikanie odpowiedzialności, to zachowanie godne współczucia, ale dla innych lukratywne. Władców ogarnął duch nieporadności, mimo że wedle oświadczeń wielu z nich, rząd jest pragmatycznie zorganizowany i dysponuje niezbędną bazą medyczno-gospodarczą dla zniweczenia intruza. Ponoć wszystko to mieści się w rządowo-instrukcyjnych zaleceniach podpartych ustawowymi dokumentami oraz innymi szczegółowymi aktami o zachowaniach w niecodziennych sytuacjach. Ale to tylko wieszczenie bezrefleksyjnego optymizmu w skwierczące słuchawki. Inną sprawą jest dysponowanie przemyślanymi, niemal idealistycznymi dokumentami, a co innego praktyka rozumnego korzystania z nich. Okazuje się, że władza usiłuje wykorzystać zaistniałą sytuację do pogłębienia swoich dyktatorskich zapędów. To stamtąd płyną buńczuczne slogany oraz decyzje cedujące obowiązki rządu na innych w stylu naiwnego żartu: dajcie mi ludzi, a wybrukuję wam ulice.
Poszerzanie przez rząd kręgu instytucji i osób odpowiedzialnych za zwalczanie wirusa oraz skutków jego obecności, to prymitywna formuła rozmywania odpowiedzialności. Temu też sprzyja sprokurowana w sprinterskim trybie ustawa z dnia 2 marca 2020 roku o szczególnych rozwiązaniach związanych z zapobieganiem, przeciwdziałaniem i zwalczaniem COVID-19, innych chorób zakaźnych oraz wywołanych nimi sytuacji kryzysowych. A może wystarczyłoby tylko wniesienie merytorycznych poprawek do już obowiązujących ustaw regulujących działania państwa w sytuacjach wyjątkowych, także epidemicznych. Istnieje też obawa, że resorty rozpoczną licytować się nowymi przepisami w tych niebezpiecznych dniach, miast praktycznie i natychmiastowo neutralizować problem w oparciu o już dostępne przepisy, a jest ich wystarczająco wiele.
Prawo jest ważne, ale nie ono likwiduje zagrożenia. Jego nadmiar może skutkować odwrotnością pokładanych w nim intencjach, a już na pewno będzie problemem nawet dla wytrawnego jurysty. Pierwsza taka inicjatywa się pojawiła ze strony resortu od innowacji, a dotycząca ułatwień dla firm, przynajmniej w obszarze daninowych uciążliwości. Jest to projekt ustawy zwanej tarczą antykryzysową. Kolejny to dokument na kolanie wymyślony bez konsultacji z zainteresowanymi i oby nie stał się pijarowskim trickiem. A wiele o tym przesądza, łącznie z tym, że pojawił się problem septyki przy jej uchwalaniu w aurze epidemicznego reżimu już przez rząd wprowadzonego. Czy parlament temu podoła; czy nie postąpi wbrew już obowiązującym przepisom, a nade wszystko czy nie stanie się rozsadnikiem wirusa? Konflikt zachowań najważniejszego gremium w Polsce wobec już uchwalonymi przepisów i wdrożonych przez rząd procedur jest oczywisty. Znów zbrakło refleksji z czego najpewniej zadowolony jest grasujący wirus.
Szokuje, że w tej dramatycznej sytuacji, także o złotówkowej transmisji dla obywateli i firm rolę statysty powierzono resortowi od finansów, a tam znajdują się główne techniczno-analityczne instrumenty sterowania dobrobytem państwa i obywateli. Dziwi to, że przykładowo sprawy podatków, wynagrodzeń, finansowego wzmacniania przedsiębiorstw etc. scedowano na resort od rozwoju, który w tej chwili winien zmienić nazwę na resort od ratowania gospodarki. Jest to zapewne innowacyjne rozwiązanie, ale dzisiaj nie czas na eksperymenty by w spektakularnej formule uzasadniać celowość istnienia tego resortu. Przecież dbałość o prekursorstwo i rozwój gospodarczo-społeczny jest jednym
z podstawowych zadań każdego rządowego działu. U nas musi być inaczej. Czy ten eklektyzm

objawi się pożytkiem dla RP walczącej z pandemią? Dzisiaj to rozsadnik hipotez rozpaczliwie szukających racjonalnych uzasadnień. Wydaje się, że rządową konstrukcję zaatakował swoisty wirus strukturalnej impotencji.

Taniec wokół przepisów

Wspomniana ustawa o szczególnych władczych rozwiązaniach w sprawach epidemii wskazuje, jakoby organy państwa dotąd nie dysponowały dokumentem regulującymi ich działania w sytuacjach niespodziewanych, co jest niedorzeczne. Jeśli zaś zwalczanie każdego kryzysu będzie wymagało nowych przepisów uchwalanych w pospiesznym trybie w trakcie szkodzących państwu i obywatelom inwazji, to skuteczność wypełniania powinności przez instytucje państwa stanie się groteską. Nie sposób testować przepisów, kiedy zewsząd czarne chmury. Tworzenie nadzwyczajnych unormowań w kulminacji burzy, bardziej szkodzi niźli pomaga. Ale i tym razem politykierstwo bratające się z histerią wzięły górę nad rozsądkiem.
Opozycja dała się wpleść w rządowe intrygi, mając świadomość, że niektóre rozwiązania specjalnej ustawy omijają Konstytucję RP, która precyzuje do jakiego stopnia można ograniczyć prawa jednostki, gdy ogłasza się stan szczególny, w tym przypadku epidemii, uchylając furtkę dla urzędniczej opresji i samowoli. Kuriozalna więc była decyzja opozycji o poparciu tej ustawy. Argumenty w stylu, że przeciwko wirusowi winni stanąć wszyscy obywatele naszego państwa, że jedność poczynań w obrębie tego problemu jest patriotycznym gestem, że nawet niekonstytucyjność przepisów nie sprzeciwia się ogólnonarodowym interesom, że ustawa w niektórych artykułach (np.: 3-6 oraz 10-14) będzie obowiązywała tylko 180 dni, ale już reszta pozostanie wiecznością etc., można to odczytywać na różne sposoby, lecz na pewno nie jako zdroworozsądkowe narzędzie walki z epidemią. Co więcej ustawa ta pogłębia prawny chaos, a na jego brak narzekać nie możemy. I w tę burzową fosę została wtłoczona większość opozycji. To, że nazajutrz po wejścia w życie tej ustawy (8 marca 2020 roku) zapowiedziano prace nad jej zmianami, jest dołującą ją notą. Proces legislacyjny, to nie obrażanie Konstytucji, lecz respekt wobec niej. Przerażenie wirusem i wiara w dobre intencje rządzących nie może usprawiedliwiać naruszania praworządności. Nie tłumaczy tego też przymilność władców wobec przeciwników, a przecież próby korumpowania opozycji to zwyczajny przejaw lęku przed utratą władzy, jak zauważył amerykański noblista John Steinbeck (1902-1968).
Państwo od dawna dysponuje dokumentami regulującymi tryb postępowania w sytuacjach szczególnych. Wystarczy wymienić, poza Konstytucją RP, m.in. ustawy: o zarządzaniu kryzysowym, o powszechnym obowiązku obrony RP, o Państwowej Inspekcji Sanitarnej, o Organizowaniu zadań realizowanych na rzecz obronności kraju przez przedsiębiorców, o Prawie farmaceutycznym, o Zwalczaniu zakażeń i chorób zakaźnych u ludzi, o Państwowym Ratownictwie Medycznym, o Oświacie, o Szkolnictwie wyższym, o Telekomunikacji etc., łącznie z technicznymi rozwiązaniami będącymi w posiadaniu władz samorządowych, dbających wprost o bezpieczeństwo swoich obywateli.
Kolejny dokument wprowadzony w życie w sprinterskim trybie jest wątpliwym narzędziem walki z wirusem. W tym procederze opozycja nie powinna uczestniczyć, bo nie da się jednocześnie szanować Konstytucji RP i ją rozmyślnie obrażać. Niestrawny to paradoks. Nasuwa się pytanie: czy można skutecznie zwalczać pandemię produkując nowe przepisy w momencie, kiedy ona trwa w najlepsze. Porażka gwarantowana. Miało być inaczej, ale dobra zmiana zauroczyła się niektórymi niedoskonałościami poprzedników i, jak się okazuje, spieszy jeszcze bardziej wyboistym traktem. Wybiórcze licytowanie się z jakością rządów swoich politycznych rywali jest

intelektualnie niestrawnym, tandetnym i nudnym usprawiedliwianiem swojej niemocy, tak, jak dzienne przekazy partyjnych myślicieli z Nowogrodzkiej dla swoich podopiecznych. Formalizm zazwyczaj paraliżuje entuzjazm i osłabia inwencję przynajmniej co bardziej rozsądnych żołnierzy, a to już zaczyn partyjnego fermentu.

Profilaktyczno-lecznicza determinacja

Restrykcje w ruchu międzynarodowym, permanentne informacje o praktycznych sposobach wzajemnego zachowywania się nas wszystkich, urzędowe komunikaty o stwierdzonych przypadkach zachorowań i liczbie osób poddanych kwarantannie oraz izolowanych w szpitalach, to wszystko stwarza przynajmniej formalne poczucie dbałości o bezpieczeństwo obywateli. Rzecz w tym, aby nie była to budowla z kart, a zasada czystych rąk nie ograniczała się wyłącznie do fizycznych higienicznych zabiegów. Historiografia naszego kraju zna wiele przypadków narodowego jednoczenia się w chwili trwogi. Wówczas bywamy razem z tym, że nie zawsze skutkowało to sukcesem (np. vide koniec lat 30., a po chwili okupacja). Czas inny, lecz proporcje niezmienne, bo inwazją znaczone, a nasza obrona tradycyjnie w powijakach. Górę bierze nie rozsądek, lecz nieobliczalny partykularz, gdzie rozum i roztropność stają się banitami. Trwoga jest wpisana w nieporadność rządzących, którzy bardziej hołdują mistyce niźli solidnym rozwiązaniom, zastępując je zawołaniem, że jakoś to będzie, ale już lekceważą inne swojskie zawołanie, że bez pracy nie ma kołaczy.
Interesowna koncyliacja rządzących wobec opozycji została wymuszona wirusową trwogą. Atawizmy pozostają i nie ma sposobu, aby zwyczajnym warsztatowym oprzyrządowaniem zniwelować nawarstwione animozje. Rządzący, ubezwłasnowolnieni partyjnością, usiłują gołosłownością przekonać oponentów do swoich racji. Wydaje się, że to próżnica. Dęta pokora rządu wobec opozycji prowokowana koronawirusem nie jest wstanie obłaskawić zakonserwowanych animozji. W tej sytuacji, ale i nie tylko problem może rozwikłać tylko suweren. Warto o tym pamiętać. On wprawdzie nie często zabiera głos, bo raptem przy wyborczej urnie, a to ważka determinanta poczynań na dziś i jutro dla tych, którzy buńczucznością stają, ale i łaskawa dla rzetelnych społeczników.
Nakazy rządzących mające tworzyć szczelne zapory wobec impertynencji wirusa jest w zasadzie aprobowane przez społeczeństwo. Ale jednocześnie z partyjnego kierownictwa władczej formacji pada nakaz odbycia prezydenckich wyborów. W aurze zbierającej śmiertelne żniwo, graniczy to ze współudziałem w eksterminacji bliźnich. Polityczna kalkulacja osiągnęła poziom jaskini, gdzie mrok sprzyja harcom krwiopijnych nietoperzy. Potrzeba wspólnego wysiłku znalazła się w impasie i to zdaje się z powodu partyjnej decyzji o zachowaniu w swojej gestii prezydenckiego pałacu. Przełożenie wyborów przedłuża kadencję obecnego układnego prezydenta. O co więc ta walka, jeśli wszystkie czyny rządzących w oczywisty sposób wskazują na potrzebę wprowadzenia stanu nadzwyczajnego na obszarze Rzeczpospolitej, jeśli już go faktycznie nie ma, a wówczas wiele spornych kwestii zostałoby rozwikłanych. Przeważa jednak zarządzanie konfliktami, a nie sprzyjanie oczekiwaniom obywateli. W tej sytuacji, retuszowanej m.in. obrazem ostatniej sesji Sejmu RP (26-27 marca 2020 roku) i wcześniejszymi kontrowersjami związanymi z formułą jej odbycia, nie powinno stwarzać żadnych złudzeń co do kultywowania zadawnionych odrębności, którym nawet koronawirus nie podołał.

* * *

W sytuacjach trudnych rządzący przypominają sobie o opozycji. Czynią to jednak z konieczności, wyrachowania, a mniej z naturalnego odruchu wspólnego stawiania czoła wirusowi. Natenczas nie ma uniwersalnego kryterium porozumienia, które bratałoby rodaków. Każdy gest ku wspólnocie jest ważny pod warunkiem, że jest skuteczny i strawny dla społeczeństwa. Przykładowo taką decyzją jest wprowadzenie przez rządzących zakazu organizowania masowych spotkań. Okazuje się jednak, że Kościół katolicki w Polsce ma z tym problem i zinterpretował ten zakaz po swojemu, tj. w ambiwalentności do rządowych poleceń, ale i wbrew sugestiom Stolicy Apostolskiej, co niedostatkiem subordynacji zwać można. Wydawałoby się, że głos z Rzymu kończy sprawę (łac. Roma locuta, causa finta), ale w naszym kościele jest inaczej. Hierarchowie nie tylko, że nie wykazują oczekiwanej obywatelskiej postawy, to zranili swego duchowego pryncypała. Jedną z reakcji na apele władz, to zwiększenie częstotliwości mszy, aby rozładować liczbę uczestniczących w każdej z nich, tak, jakby wierni dysponowali miejscówkami z godzinnym modlitewnym rozkładem bycia w Domu Bożym. Pomysł godny rozpaczy. Ale cóż innego można było oczekiwać, kiedy to rząd prawej i sprawiedliwej partii przedkłada ewangelię nad Konstytucję RP. Drzewiej nie bywało lepiej.
W kraju ogłoszono epidemię (20.3.2020 r.), chociaż Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) już wcześniej oznajmiła, że mamy do czynienia z pandemią (11.03.2020 r.), co inspiruje do mnożenia spekulacji i podsycania nastrojów paniki, ale zarazem sprzyja umacnianiu się tendencji absolutystycznych i ksenofobicznych.
Okazuje się, że ogłoszenie dla kraju zagrożenia epidemicznego ma odwołanie do już od dawna obowiązujących przepisów, a tylko pośrednio nawiązuje do wspominanej tzw. specjalnej ustawy z dnia 8 marca 2020 roku., co też nadwątla sens jej uchwalenia. Politykierska perfidia nie zna granic, ale roztropność opozycji w tym momencie chyba nieco zawiodła. Wszystko to zbliża ku organizacyjnej katastrofie. Bitwa pod Termopilami (sierpień 480 rok p n e.) w historiografii pozostaje wielką batalią, ale o mizernym strategicznym sukcesie, sprowadzonym do symbolu poświęcenia wielu i wiele na polu bitwy, a takich polskich przypadków na przestrzeni dziejów mamy wystarczającą kolekcję. Nie ma potrzeby jej uzupełniania. Zamysły rządzących są jednak diaboliczne w swej przekorze.
Aktualna sytuacja nakazuje promowanie optymistycznych rozwiązań, a tego nie da się uczynić bez uczciwej współpracy wszystkich ze wszystkimi. Scenariusz pisany na Nowogrodzkiej jest niestety nader czytelny i wyjałowiony z empatii. Natenczas nic i nikt nie powstrzyma prezesa przed parciem za wszelką cenę do zwycięstwa jego kandydata na drodze ku Belwederowi. Walkę z wirusem sprowadza do swoich prywatnych odczuć wzmocnionych kościelno-funeralnymi błogosławieństwami, brutalnie kolidującymi z obowiązującymi w kraju prawnymi regulacjami dotyczącymi walki z epidemią koronawirusa. Prezydenckie wybory w dniu 10 maja br. mają się odbyć. Taka jest decyzja prezesa. I w tym punkcie rozpoczyna się kankan jego podwładnych, którzy usiłują twórczo uzasadnić racje swego nowogrodzkiego guru. Wielu z nich ma chyba świadomość, że tego nie sposób racjonalnie objaśnić. Ale też nikt nie odważy się publicznie zgłosić jakiekolwiek wątpliwości, bo w cenie pozostaje stanowisko z wygórowanymi apanażami. I tym razem interes państwa oraz obywateli został przytłoczony politycznymi rachunkami i to w obliczu grasowania wirusa. Czyżby partyjni komilitoni nie dostrzegali tego, że partyjny guru poświęca ich w imię odwetu za udział zdradzieckich mord w morderstwie swego brata, i że na tej tragedii nadal usiłuje budować swoją pomyślność. Kalendarzowa liczba dziesięć zawładnęła jego umysłem, łącznie z parciem do odbycia prezydenckich wyborów również wyznaczonych na ten dzień maja, mimo szalejącej pandemii koronawirusa. Jest w tym coś z mickiewiczowskiej refleksji: O roku ów! Kto ciebie widział w

naszym kraju! Ciebie lud zwie rokiem urodzaju. A żołnierz rokiem wojny…
Egoizm stał się żądzą trwania u władzy, narażając suwerena i siebie również na utratę zdrowia lub życia. Tak się chyba dzieje, kiedy rozum biegnie po krzywej społecznego poparcia, a realizm przygarnia lamus. Nieustępliwość partyjnego rządcy przeraża. Bliskie to obłędowi. Nic gorszego nie mogło się przytrafić Polsce i Polakom w tym katastroficznym roku.
Politycy larum grają, ale w konwencji jakoby słuch postradali.

Janina Łagoda